

## Kilka uwag osobistych - Moje spotkanie z Włodzimierzem Borowskim

**O grupie Zamek wiedziałam tyle, że istniała w Lublinie, kiedy moi rodzice byli młodzi i jeszcze nie byli moimi rodzicami. Wystarczyło. A przecież zdając na historię sztuki KUL, wiedziałam, że muszę być przygotowana z takiego tematu, jak „życie artystyczne Lublina”, „artyści Lublina” czy „pomniki Lublina”?**

Ukończyłam Liceum Plastyczne z historią sztuki na dobrym poziomie. Nasz nauczyciel organizował wyprawy do galerii czy do muzeum, mieszczącego się przecież na Zamku, od którego grupa wzięła nazwę. Z całą pewnością mówiono nam o lubelskich tradycjach awangardowych, odwiedziliśmy na przykład wystawę Jana Ziemskiego, ale wyleciało mi to szybko z głowy.

Podejrzewam, że dla kogoś spoza Lublina odstraszać mogą dzieje lubelskiej awangardy. Co go obchodzą lokalni artyści? Jednak znaczenie grupy Zamek daleko wybiega poza Lublin, głównie dzięki działalności czterech osób: Włodzimierza Borowskiego, Tytusa Dzieduszyckiego, Jana Ziemskiego i Jerzego Ludwińskiego. Dlaczego? Na chwilę oddamy głos Ludwińskiemu: *Na jesieni 1958 roku odbyła się w galerii „Krzywe Koło” wystawa grupy „Zamek”, do której Borowski od początku należał. Na wystawie brali udział także Tytus Dzieduszycki i Jan Ziemiński. Większość prac tam eksponowanych to były reliefy z pogranicza malarstwa i rzeźby. W tym samym czasie na Biennale w Wenecji ogromne zainteresowanie wywołały mocno fakturowe, przypominające delikatne tynki obrazy Antoni Tapiesa i jego kolegów z pawilonu hiszpańskiego. Osoby, które przybyły na wernisaż [...] prosto z Wenecji były zupełnie zaskoczone tym, co tutaj zobaczyły. Obrazy trzech artystów lubelskich nie tylko, że różniły się znacznie między sobą, ale zupełnie nie przypominały ani Tapiesa, ani Quixarta. Później dowiedziałam się, że w sztuce Borowskiego więcej było tego prekursorstwa, gdy zaczynał się jakiś kolejny kierunek w sztuce, to Borowski - mówiąc słowami Ludwińskiego: *zdążył go już skompromitować, odsłonić, unieważnić i skasować.**

Jak wyglądają prace grupy „Zamek” zobaczyłam na trzecim bodajże roku historii sztuki, kiedy wraz z moją grupą ze studiów udaliśmy się do Muzeum Lubelskiego. Weszliśmy na galeryjkę i usiłowałam zrozumieć, dlaczego pokazane tam prace są ważne. Podobały mi się te skromne, niewielkie obrazy. Moją uwagę przyciągnął zwłaszcza *Tryptyk* Borowskiego. Było to dzieło dziwaczne... Nie potrafiliśmy go zaklasyfikować... Nie pasowała ani abstrakcja organiczna, informel, ani malarstwo materii, ani neodadaizm. Obrazy te wymykały się wszelkim definicjom. Każda część inna! Trochę geometrii, trochę form organicznych, jakieś dziwne linie prowadzące donikąd, obiekty, które nie kojarzą się niczym znanym.

W 1993 roku oglądałam w lubelskim BWA wystawę *Ślady* Borowskiego, z okazji wystaw zbiorowych widywałam jego *Est-Etykę. Autoportrety* (1970). Zrobiły na mnie wielkie wrażenie dzięki oryginalności myślenia, bez cienia pozy. W tym podsumowaniu własnej twórczości Borowski miał niezwykłą odwagę odrzucania wszystkiego, co wcześniej osiągnął i gotowość ciągłego podejmowania ryzyka od nowa. Uznałam, że oto artysta, który traktuje sztukę bardzo ucziwie. Potem widziałam jeszcze *Poemat pedagogiczny stołowy*.

Jakiś czas potem postanowiłam zebrać do kwartalnika „Kresy” materiały o grupie „Zamek”, również po to, żeby poskładać sobie to, co już wiem oraz tę wiedzę poszerzyć. Dotarłam do artykułów z epoki. Bardzo podobały mi się „Struktury” - pismo artystyczne redagowane z pasją i kompetentnie przez Jerzego Ludwińskiego (przydałoby się dzisiaj, może je reaktywować?). Pojechałam do Jerzego Ludwińskiego. Wcale nie chciał wracać do starych spraw, za które uważał działalność „Zamek”. Nie chciał też mówić o swojej roli w grupie „Zamek”. Milczał też o wydarzeniach, które organizował później. A było to chociażby ogromnie ważne dla polskiej awangardy I Ogólnopolskie Sympozjum Artystów i Naukowców w Puławach w 1966 roku, gdzie Włodzimierz Borowski miał wymagające olbrzymiej odwagi wystąpienie - *Ofiarowanie pieca*. Wtedy to z wysokości wielkiego pieca w hali fabrycznej wychwalał przemysłowy krajobraz, a następnie odśpiewał pieśń do słów „Mocznik, Mocznik”, która przeszła na melodię hymnu państwowego. Jerzy Ludwiński wołał jednak rozmawiać na temat aktualnych wydarzeń, a także o swoich studentach ze szkoły poznańskiej. Niewiele się dowiedziałam.

Jednak spotkanie z Jerzym Ludwińskim wyjaśniło mi, dlaczego do tej pory ani nie urządzono wystawy retrospektywnej, ani nie wydano żadnej publikacji, która stanowiąc rzetelne kompendium informacji o grupie „Zamek”, odarłoby ją z legendy, przywracając zarazem należne miejsce w sztuce polskiej. Słyszałam nawet, że były plany takiej wystawy z okazji jubileuszu Lublina. Podobno sprzeciwił się sam Włodzimierz Borowski, twierdząc, że nie ma powodu, by odgrzebywać kilka starych prac, bo są one zniszczone, a poza tym - nie przedstawiają większej wartości wobec tego, co robił później. Wprawdzie powstawały prace magisterskie na temat grupy „Zamku”, istnieje trochę rozproszonych publikacji. To jednak za mało. Grupa cały czas pozostaje nieco na uboczu, wciąż nie docenia się w pełni jej wkładu dla pogłębienia refleksji nad malarstwem i wypracowania dróg odchodzenia od niego - przez odzieranie obrazu z iluzji, czynienie go zwykłym, materialnym przedmiotem.

W 1997 roku zaczęłam pracować w Muzeum Sztuki w Łodzi - i zetknęłam się z *Artonami* Włodzimierza Borowskiego. W kolekcji znajdują się *Arton B* (1958), *Arton I* (1961) i *Arton XI* (1962). Praca najwcześniejsza umieszczona została - w hołdzie Duchampowi - w kole rowerowym. Wnętrze koła wypełnia plastikowa siatka, a pod nią rysuje się ciemna płaszczyzna pokryta nieregularnymi otworami. *Arton B*, pokazany na III Ogólnopolskiej Wystawie Sztuki Nowoczesnej w Zachęcie, wywołał polemiki i został zauważony przez wszystkich. Sprawiał wrażenie żywej struktury pulsującej barwnymi światłami. Jednak lata eksploatacji spowodowały, że dzieło przestało działać.

Pozostałe *Artony* z łódzkiej kolekcji były niewielkimi obiektami przestrzennymi. Borowski wykonał je z plastikowych talerzyków, misek, gąbek itp., które topił lutownicą lub nad palnikiem gazowym.

Niedawno Włodzimierz Borowski został zaproszony przez Muzeum Sztuki. Pracował nad swoimi

starymi dziełami, a ja mogłam obserwować to spotkanie po latach. Chociaż ten niezwykle skromny artysta był poruszony tym spotkaniem z dawnymi pracami, to jednak podchodził do nich bez zbytnich ceregieli. Natychmiast włożył je do wanny i umył. Prace odzyskał radosne barwy tworzyw sztucznych z lat sześćdziesiątych. Przy okazji opowiedział mi, że jak kiedyś próbował wytłumaczyć laikowi, co to za przedmiot. Dopiero, gdy żartem stwierdził, że są to rośliny do akwarium, na twarzy rozmówcy zauważył zrozumienie i aprobatę.

W *Artonie B* po oczyszczeniu styków żarówek znów zaczęły świecić, jak przed laty. Okazało się, że żadna - po tylu latach - nie jest przepalona! Poszukiwaliśmy nawet lampek choinkowych, by je tutaj zainstalować, ale w końcu pozostały stare żarówki. Trzeba też było wymienić stare gąbki na nowe. Gąbki te, podświetlone od spodu, sprawiają wrażenie form organicznych. Od niedawna *Arton B* wygląda znów jak nowy. Pulsuje światłami, ma częściowo widoczne wnętrze. Jest niczym twór przyrodniczy. Jest obrazem, który znów ożył.

Wykorzystując pobyt w Łodzi, Włodzimierz Borowski zwiedzał także galerie muzealne. Najwięcej czasu spędzał przed obrazami Karola Hillera, który - jak się okazało - jest ulubionym artystą od momentu, gdy odwiedził łódzkie muzeum w latach pięćdziesiątych. Największe wrażenie zrobiła na nim wówczas heliografia z motywem deszczu. Tej pracy Borowski poświęcił później swój obraz z efektem rozlanej farby.

Trudno mi streszczać rozmowy z Włodzimierzem Borowskim. Były bardzo inspirujące... Artysta bez zahamowań mówił o generaliach. Na moje naiwne pytanie „co to jest sztuka?” odpowiadał, czy raczej głośno myślał: - Jest to postawa otwartości, nieustanne zadawanie pytań, odwaga nie zatrzymywania się nad dotychczasowymi odpowiedziami. - Jest to także proces - dodawał. - A może sztuka jest po prostu życiem? I w przypadku Włodzimierza Borowskiego na pewno tak.

Za swą bezkompromisowość artysta płaci dzisiaj wysoką cenę. Chociaż w wąskim gronie znawców wymieniany jest natychmiast jako jeden z najbardziej znaczących artystów powojennych, nie zaznał sławy - wciąż znajduje się na uboczu. Ale sztuka przecież nie jest dla wszystkich? Bo przecież (przypominam wypowiedzi artysty z 1970 roku, nie chcę bowiem zniekształcać jego opinii, które niewiele się do dzisiaj zmieniły) sztuka: *Nie może być tą kostką cukru dla konia, który pada ze zmęczenia po całodziennej orce. A twórczość: ma być zabawą dziecka - tylko kontrolowaną i analizowaną przez intelekt, pozbawioną jakichkolwiek ubocznych potrzeb i ambicji. Społeczeństwo nie powinno zapominać, że tylko sztuka, burząc jego spokój, może uratować je od zbydlęcenia.*